

# HUCZMIRANKI

---

## EUKALIPTUS

---

### I WERBENA

Tom 1.

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015

Text © copyright by Agata Mańczyk, 2015

Projekt okładki Katarzyna Borkowska

Zdjęcia na okładce:

Dziewczyna © Demurex Cover Arts/Maja Topcagic

Liście © Fotolia/Dmitry

AGATA MAŃCZYK  
HUCZMIRANKI

EUKALIPTUS  
I WERBENA

Tom 1.

Nasza Księgarnia

*Pamięci moich rodziców, którzy pokazali mi,  
że rzeczy nie są takie, jakimi się wydają.  
Dla mojej siostry Agnieszki.  
I dla Warszawy – mojego miasta,  
które zawsze jest dumne i silne.*

# NINA

Warszawa, 2013 rok

Czułam na twarzy ciepłe promienie słońca. Słyszałam gwar warszawskiej ulicy za oknem, a mimo to trwałałam przy swoim postanowieniu. Spać, spać, spać. Zawsze byłam uparta i niezdyscyplinowana. Jednak poranki lubiłam najbardziej. Od kiedy pamiętam, wstawałam na tyle wcześnie, żeby zdążyć się nimi nacieszyć w ciszy i samotności, za całe towarzystwo mając kubek z gorącą, słodką kawą. Zanim inni domownicy pozwalali się z łóżek, ziewając i narzekając, zaczęli w piżamach snuć się po domu, ja czekałam już z herbatą i śniadaniem na stole, gotowa na pracę, zabawę i inne atrakcje nadchodzącego dnia. Wiele się zmieniło od tego czasu. Teraz byłam sama, więc jak rano długi, mogłam napawać się nim w spokoju do upadłego. Inna sprawa, że nie miałam już na to ochoty. Ani siły. Właściwie od jakiegoś czasu na niewiele rzeczy miałam siłę. A tym bardziej ochotę. Odwróciłam się zatem na drugi bok, obiecując sobie, że kiedy obudzę się za godzinę lub dwie, pomyślę już poważnie o wstaniu z łóżka. Słońce przeciskające się przez szpary między ciężkimi wiśniowymi zasłonami jednak tak mocno grzało mnie w plecy, że musiałam zmienić plany. Otworzyłam prawe oko i zerknęłam na zegar na ścianie. Dochodziło południe. A ja nadal czułam się śpiąca i zmęczona. Ale nie to stanowiło największy problem. Opuszczenie łóżka oznaczało rozpoczęcie nowego życia, a do tego musiałam zebrać całą odwagę, jaka jeszcze mi pozostała – było jej niewiele.

Powrót do Warszawy już i tak dużo mnie kosztował. Przeszło roczny pobyt w Europie, a raczej ucieczka przed wszystkim, co się wydarzyło, niewiele mi pomógł. Na pewno mniej, niż oczekiwałam. W końcu zmęczyło mnie uciekanie i poczułam, że jeśli nie wrócę teraz, nie wrócę już nigdy. Moim ostatnim przystankiem było Bordeaux. Maleńkie mieszkano w starej części miasta. Sobotnie poranki z croissantem w pobliskim parku. Spacer wzdłuż rzeki, praca w kawiarni, wycieczki za miasto. Mogłabym polubić takie życie. Zostać tam i zapomnieć o wszystkim. To byłoby takie łatwe. Po prostu żyć. Spędzać czas na drobnych, pozornie błahych czynnościach, małych przyjemnościach, rutynowej pracy, przelotnych spotkaniach z nieważnymi ludźmi. Jeść, pić, spać, pracować i odpoczywać. Nic więcej człowiekowi nie potrzeba do szczęścia. Bez pamięci, zobowiązań i co najważniejsze – bez miłości. Wyjechałam tego samego dnia, kiedy sobie to uświadomiłam. Pokusa była zbyt silna, a ja za słaba. Nie mogłam zapomnieć. Moje życie znowu powinno nabrać sensu. Babka miała rację. Życie blisko ludzi mnie osłabiło. Czułam się wypalona i słaba, bezbarwna i... zwyczajna. Wsiadłam do samolotu, nie do końca świadoma, na co się decyduję. Wiedziałam tylko, że muszę wrócić. Coś krzychało we mnie i przyciągało do miejsca, które porzuciłam tak nagle, bez wyjaśnienia. Ten krzyk stawał się coraz cichszy, jednak dopóki go słyszałam, byłam sobą. Żyłam. Bałam się momentu, gdy i on umilknie. Po tym jak wszystkie moje nadzieje zawaliły się z hukiem i zrozumiałam, że brawurowa ucieczka zwieńczona szaleńczą trzynastomiesięczną podróżą po Europie była pomyłką, tylko jedna rzecz trzymała mnie w pionie. Niczym latarnia, dająca nadzieję zagubionemu podczas sztormu żeglarzowi. Do tego światła zmierzałam, bo stanowiło ostatnią, jedyną już nadzieję.

Tego dnia w parku, gdy tak bardzo zapragnęłam zostać w Bordeaux i zanurzyć się w niezobowiązującym, francuskim życiu,

usłyszałam w głowie słowa mojej babki. „Przez chwilę możesz być żoną, matką i kochanką, ale córką i siostrą, a przede wszystkim wnuczką jesteś na zawsze. Pamiętaj o tym, kiedy wszystko inne okaże się tylko złudzeniem”.

Jak zwykle miała rację. Należę do rodu Huczmiran i o tym nigdy nie mogę zapomnieć.

Dlatego, kiedy po długiej podróży stanęłam przed drzwiami mieszkania na Żurawiej w Warszawie, wiedziałam, że – choć czułam się podle – podjęłam właściwą decyzję. Klucz do mieszkania znalazłam pod wycieraczką. Uśmiechnęłam się na ten widok. Moja babka była wyjątkowa pod wieloma względami.

– Wracam – rzuciłam do słuchawki zamiast powitania, czekając na lotnisku Roissy Charles de Gaulle na samolot do Warszawy.

– Klucze znajdziesz tam, gdzie zawsze – odpowiedziała krótko i się rozłączyła.

Pięć słów po ponad roku nieobecności. Wyjechałam bez słowa wyjaśnienia. Z jakiegoś dworca w Europie wysłałam esemesa, że żyję i nie wiem, kiedy wrócę. Potem wyłączyłam telefon. Pięć słów i wiedziałam, że mam do czego wracać i że właśnie to powinnam zrobić już dawno.

Słowa nie są trwałe. Rozpływają się w powietrzu i po chwili nikt już o nich nie pamięta, nawet ten, który je wypowiedział. Teraz, kiedy leżałam skulona pod kołdrą, nie mogłam odnaleźć w sobie pewności, że decyzja o powrocie była słuszna. Bałam się tego, co mnie tu czeka. Zimny, powściągliwy głos babki przez telefon nie wydawał mi się już serdeczny. Obie zrobiłyśmy to, co do nas należało. Ja wróciłam do rodzinnego gniazda, ona mnie przyjęła. Nie miałyśmy innego wyjścia, jednak żadna z nas tak naprawdę tego nie chciała.

Wskazówki zegara z mozołem przesunęły się o kolejne dwieście minut. Warszawa piła południową kawę, a ja bałam się wstać z łóżka. To śmieszne. I straszne.

Pół godziny później stałam na bosaka w kuchni, delektując się przyjemnym chłodem terakoty. W lodówce znalazłam produkty na szybkie śniadanie. Nikt nie korzystał z tego mieszkania od lat. Poinformowałam o swoim przyjeździe w ostatniej chwili, a jednak zastałam odkurzone meble, przewietrzone pokoje, zaopatrzoną lodówkę i moją ulubioną kawę obok ekspresu. Czy Darię czymkolwiek da się zaskoczyć? Uśmiechnęłam się z rozczuleniem, po chwili zaś rozkoszowałam się na balkonie aromatem czarnego, gorącego napoju z cynamonem i odrobiną zapachu jabłek i miodu, dla lepszego samopoczucia.

Mieszkanie Darii znajdowało się na drugim piętrze. Stojąc na balkonie, słyszałam gwar tętniącej życiem ulicy Kruczej. Usiadłam w wiklinowym fotelu i wystawiłam twarz do słońca, choć wiedziałam, że nie sprawia mi to takiej przyjemności jak kiedyś. Wypiłam duży łyk kawy i wraz z gorącym napojem rozeszły się po moim ciele ciepło i nadzieja. Przez chwilę poczułam radość, że znowu jestem częścią tego miasta, a jego niezmienny gwar i żywiołowość uspokajają mnie i dają pewność, że nie muszę już uciekać.

Dopiłam kawę i wróciłam do mieszkania, by doprowadzić się do porządku. Moja walizka stała w przedpokoju. Dawno tu nie byłam. Babka Daria nie mieszkała tu od kilkunastu lat. Przeprowadziła się do dużego domu w starej części Mokotowa. To lokum, jak kilka innych należących do mojej rodziny, było czymś w rodzaju tymczasowego azylu dla tych z nas, które znalazły się w trudnej sytuacji i nie chciały wracać do siebie. Część mieszkań przeznaczono na wynajem, jednak Daria zostawiała zawsze jedno lub dwa puste, bo twierdziła, że nigdy nie wiadomo, kiedy się przyda jakieś wolne miejsce. Mój dom na Saskiej Kępie przy ulicy Afrykańskiej stał pusty od ponad roku. Ale nie mogłam żyć znowu wśród mebli i przedmiotów, które przypominały, co straciłam. Dlatego zadzwoniłam do Darii. Nie powiedziałam, że potrzebuję pomocy, a jednak zro-

zumiała. Właśnie dlatego zawsze uważałam, że babka jest niezwykła. Bardzo wymagająca, mocno zdystansowana i trochę oziębła, ale naprawdę niezwykła.

Mieszkanie było za duże dla jednej osoby. Miało cztery pokoje – jeden należał do Darii, drugi zajmowała kiedyś moja mama, trzeci jej siostra, a salon przeznaczono dla gości. Zrobiłam obchód, sprawdzając, czy zostało tu coś, co pamiętałam z dzieciństwa.

Urodziłam się w tym mieszkaniu, już po stanie wojennym. Porody w domu były dla nas tradycją. Przez kilka pierwszych lat po moich narodzinach zajmowaliśmy czteroosobową rodziną większą sypialnię. Daria zdawała się wtedy bardzo wesoła i często mnie przytulała.

Wyszłam z pokoju, w którym nadal stał ciężki, mahoniowy kredens, gdzie chowałam swoje dziecięce książeczki. Ruszyłam do pokoju Zoi, kiedy niechcący zerknęłam w duże, kryształowe lustro wiszące w przedpokoju między dwiema sypialniami. Przez chwilę miałam wrażenie, że patrzę na kogoś obcego. Kobieta, starsza ode mnie o kilka lat, która już dawno przestała zwracać uwagę na wygląd, jakby w końcu zrozumiała, że pomalowanie ust nie zmieni jej życia na lepsze. Spróbowałam się uśmiechnąć. Marnie mi to wyszło, ale przynajmniej rozpoznałam w obcej, przygasłej twarzy siebie. Miałam kiedyś zielone oczy. Teraz poszarzały. Włosy stały się matowe – trudno było określić, jaki właściwie mają kolor. Uśmiechnęłam się po raz drugi. Nieporadnie i krzywo. Wyszłam z wprawy. Zauważyłam kilka nowych zmarszczek i cienie pod oczami. Skóra blada i wysuszona. Gdzie się podziała Nina, którą byłam półtora roku temu? Czy jeszcze zdołam ją odnaleźć?

*– Nigdy nie opuszczaj swojego rodu. Nino, masz już pięć lat i czas, żebyś to zapamiętała. Nie wolno nam się rozdzielać. Gdy trwamy*

*razem, jesteśmy silne i nikt nie zrobi nam krzywdy. Jeśli złamiesz tę zasadę i odejdiesz, będziesz bardzo słaba i smutna.*

*– Czy wtedy umrę, babciu?*

*– Jeżeli nie wrócisz na czas, tak właśnie może się stać. Dlatego musisz dobrze zapamiętać to, co ci powiedziałam.*

*– Dobrze. Nigdy cię nie opuszczę.*

To wspomnienie pojawiło się nagle i równie szybko zniknęło. Zwiedzanie starych kątów zawsze działało na mnie sentymentalnie. Wtedy, tego wieczoru, kiedy siedziałam obok Darii na sofie, złożyłam sobie obietnicę, że nigdy nie opuszczę rodzowego gniazda. Moja rodzina jest taka wspaniała, po cóż miałabym jechać gdzieś daleko, jeśli wszystko, czego potrzebuję, jest w Warszawie?

Kilkanaście lat później się zakochałam. Potem urodziłam dziecko. Cały świat przestał się liczyć, a wraz z nim przestrogi mojej babki. Kiedy dorosły cierpi tak bardzo, że nie może znaleźć ukojenia, jego dziecięce przysięgi stają się tylko zabawnym echem, którego nie warto nawet przywoływać.

Nagle zadzwieczał dzwonek. Zamarłam. Nie spodziewałam się gości. Daria nie przyszłaby nieproszona, nikt poza nią nie wiedział o moim powrocie, z dawnymi koleżankami dawno straciłam kontakt, więc kto to mógł być? Jakby w odpowiedzi na pytanie dzwonek rozbrzmiał po raz kolejny, tym razem dłużej i bardziej uporczywie. Niewiele myśląc, ruszyłam do drzwi. Zawahałam się tylko przez chwilę, po czym szybko otworzyłam zasuwę i nacisnęłam klamkę. Na wycieraczce stała obca kobieta, która uważnie, wzrokiem niepozabawionym bezczelności i wścibstwa, oglądała mnie dokładnie od stóp do głów. Kiedy skończyła, westchnęła głośno i pokręciła głową z politowaniem, po czym weszła do środka, nie czekając na zaproszenie.

Była niska i chuda, w lnianych zielonych spodniach i czarnym T-shircie. Długie i gęste jak na jej wiek włosy, ufarbowane

na czekoladowo, beztrząsco rozrzuciła na plecach. Musiała mieć koło sześćdziesiątki, ale umiejętny makijaż odejmował jej kilka lat. Uśmiechała się, pewna, że będę zadowolona z jej wizyty, i zatrzymała w przedpokoju, nieco zdziwiona, że nie zapraszam jej do salonu. Patrzyłam na nią przez chwilę, czekając na jakieś wyjaśnienie, jednak uparcie milczała. Zaryzykowała uśmiech, a kiedy na niego nie zareagowałam, wyciągnęła w moim kierunku kubek z parującą kawą o niezwyklej zapachu.

*– Pani...? – Wykonałam w powietrzu nieokreślony ruch ręką.*

*– Mów mi Inga. Jestem twoją sąsiadką i dawną przyjaciółką Darii – przedstawiła się w końcu i weszła do pokoju. Rozsiadła się wygodnie na sofie, postawiła swój kubek z kawą na stoliku i czekała, aż do niej dołączę.*

*– W czym mogę pomóc... Ingo? – zapytałam zdezorientowana. Zamknęłam drzwi i nieśmiało weszłam do salonu.*

*– Przede wszystkim mogłabyś się wykapać – powiedziała zniesmaczona.*

Otworzyłam usta ze zdziwienia i szybko je zamknęłam. Kobieta uważnie studiowała każdy szczegół mojego skromnego stroju. Nie zdążyłam się jeszcze przebrać, więc wciąż miałam na sobie znoszony T-shirt i stare, krótkie spodenki.

*– Kiepsko z tobą – zawyrokowała w końcu. – Dobrze, że w końcu wróciłaś, bo mogło być jeszcze gorzej.*

*– Jestem tylko trochę zmęczona – usprawiedliwiłam się, choć nie miałam pojęcia, dlaczego to robię.*

*– Zmęczona... dobre sobie – mruknęła pod nosem.*

*– Czy Daria wie, że pani tu jest?*

*– Miałas mi mówić po imieniu – przypomniała urażonym tonem. – Twoja babka nie musi wiedzieć o tym, co się dzieje w tym mieście w każdej minucie jego życia, choć zapewne ma na ten temat inne zdanie. – Westchnęła z bezsilności. – Zrób ze sobą porządek, a ja poczekam na balkonie. Czy wiesz, że twoja matka kiedyś z niego wyskoczyła? – zarechotała. – A może to*



było okno? Ech, stare, dobre czasy, kiedy wszystko wydawało się takie proste...

Mrucząc coś pod nosem, wyszła na balkon i rozsiadła się w wiklinowym fotelu, jak we własnym.

Ten pomysł zupełnie mi się nie podobał. Wolałabym zastanowić się spokojnie, co teraz powinnam zrobić, gdzie pójść i w jaki sposób odbudowywać swoje życie. Czekало mnie tyle spraw do załatwienia i tyle do przemyślenia, zupełnie więc nie miałam ochoty na wizytę natarczywej sąsiadki. Daria przysłała mi esemesa, w którym wspomniała, że w razie problemów z mieszkaniem mam się zgłosić do sąsiadki, ale nie napisała, o kogo dokładnie chodzi. Wymieniła imię, jednak dałabym sobie uciąć rękę, że chodziło o Jankę, a nie Inge... Może wskazana przez Darię kobieta nie miała czasu na niańczenie mnie i przysłała zastępstwo? Było mi to nawet na rękę. Po tylu miesiącach samotnego borykania się z życiem, świadomość, że ktoś się o mnie troszczy, stawiała się nawet miła. Na palcach zakradłam się na balkon i podejrzalam Inge siedzącą w wiklinowym fotelu, opierającą nogi o barierkę i wystawiającą pomarszczoną twarz do słońca. Uśmiechnęłam się na ten widok, a myśl, że zasadnicza i uporządkowana Daria przyjaźniła się kiedykolwiek z kobietą, która po sześćdziesiątce, opalając się, zadziera nogi na poręcz i nuci, wydała mi się całkiem nieprawdopodobna. Nagle Inga szybko uniosła głowę, wcześniej leniwie spoczywającą na oparciu fotela, i spojrzała na mnie tak przenikliwie i badawczo, że ciarki przeszły mi po plecach. Cmoknęła zniecierpliwiona i przewróciła oczami. Oszałamiający zapach kawy dotarł do mnie zadziwiająco szybko. Poczułam nagle, że mam na nią wielką chęć, choć przed chwilą jedną właśnie skończyłam pić. Byłam zmęczona, osłabiona i załamana, ale nie głupia. Dobrze wiedziałam, co to oznacza. Spojrzałam czujnie na Inge – tylko się uśmiechnęła. Pokręciłam z niedowierzaniem głową, ona prychnęła krótko

z udawanym oburzeniem. Pokręciłam znowu głową, a ona cmoknęła. Odwróciłam się i ruszyłam w kierunku łazienki. Nie wypowiedziałyśmy ani jednego słowa, ale wszystko stało się jasne. Dowiedziałam się, z kim mam do czynienia, kobieta zaś zdała sobie sprawę z tego, że cokolwiek zaplanowała, nie pójdzie jej ze mną łatwo.



Po kwadransie przebrana w czyste ciuchy wróciłam z ręcznikiem na mokrych włosach. W torbie znalazłam ostatni zestaw nowych ubrań, które podczas podróży kupowałam na każdy sezon, żeby nie wozić ze sobą zbyt dużo bagażu. Lniane, szerokie spodnie, czarny T-shirt i zielone crocsy sprawiły, że czułam się swobodnie i pewnie. Zdjęłam z głowy ręcznik i przecesałam włosy palcami. Wyszłam na balkon. Zajęłam wolne krzesło i uważnie przyjrzałam się kubkowi z kawą, który na mnie czekał. Inga nie spuszczała ze mnie wzroku. Uśmiechnęła się lekko.

– Spokojnie – powiedziała leniwie, wystawiając twarz do słońca – to tylko kawa.

– Mieszanka wanilii i imbiru – oceniłam ostrożnie, wciągając nieziemski aromat – huba i maliny.

Spojrzała na mnie z uznaniem.

– Mimo to możesz ją wypić. Poczujesz się lepiej. Gwarantuję, że wpadniesz w letarg po kilku łykach mojej kawy. – Parsknęła śmiechem, widząc moją minę.

Nadal mierzyłam ją nieufnym spojrzeniem, ale moja ręka mimowolnie chwyciła kubek. A kiedy to się stało, nie potrafiłam już oprzeć się pokusie.

Wypiłam pierwszy łyk. Kawa, choć gorąca, już nie parzyła. Była słodka, z korzennym posmakiem. Odnalazłam w niej nutkę owoców lasu i coś pikantnego, co pobudzało zmysły. Rozgrzewała ciało i umysł. Sycąca, gasząca pragnienie. Dawała siłę i energię, jednocześnie tłumiąc smutki i łagodząc cier-



pienie. Nagle dotarło do mnie, że wszystko będzie dobrze, że już jest dobrze, a całe zło, jakie mnie spotkało, tak naprawdę nie ma żadnego znaczenia. Jedyne, co się dla mnie liczy, to ta chwila. I jeszcze kawa. Kawa, bez której już trudno mi się będzie obejść. Jej smak onieśmiał i zniewalał. Odkrywał najgłębiej ukryte pragnienia i marzenia, tęsknoty i żądze, o których od tak dawna nie myślałam. Poczułam się całkowicie obnażona, bezbronna i zdana na łaskę i niełaskę niezwykłego smaku i aromatu. Zawładnęła moim umysłem i ciałem. Chciałam ją pić bez końca i nigdy się nie nasycić.

– Widzę, że ci smakuje – rzekła ironicznie.

– Jest... – Zawahałam się, wytrącona z błogiego, pochłaniającego mnie coraz bardziej stanu odprężenia. Zapach rumianku i miodu zawirował wokół, przywracając mnie do rzeczywistości. – Jest całkiem dobra – oznajmiłam obojętnie. – Trochę za mocna, ale da się wypić.

– Przyznaj od razu, że nigdy nie piłaś lepszej – poradziła rozbawiona.

– Bez przesady. – Machnęłam lekceważąco ręką. – Zapominasz chyba, że jestem wnuczką Darii Huczmiran.

– Ona nigdy nie umiała zrobić naprawdę dobrej kawy. To, co masz w kubku, wykracza poza jej możliwości.

– Nie przesadzaj...

– Przesadzam? – Nachyliła się do mnie i lekko zmrużyła oczy. – Wystarczą cztery łyki, by zrozumieć, że życie może być rajem, jeśli będzie się miało pełny kubek... Rozumiesz, co mam na myśli? – Puściła do mnie oko i wyszeptała z tajemniczym uśmiechem: – Wypiłaś trzy łyki. Byłaś więc bardzo blisko...

Kiwnęłam głową i na wszelki wypadek przesunęłam naczynie o kilka centymetrów w jej stronę. Inga wybuchnęła rechotliwym śmiechem.

– Mówiłaś, że znasz moją babkę... – zmieniłam temat.

– Byłyśmy kiedyś... no, można powiedzieć przyjaciółkami, choć to już dawno nieaktualne. Stara historia, nie ma sensu do niej wracać.

– Znałyście się, kiedy mieszkała tu z Mariną?

– To był ciężki okres. Obie byłyśmy wtedy bardzo młode i głupie. Potrzebowałyśmy siebie nawzajem, przynajmniej przez jakiś czas... a potem wszystko się skomplikowało. – Zamyśliła się. – Czasem trzeba zrobić coś, co inni uważają za zdradę. Takie jest życie i żadna mieszanka tego nie zmieni.

Potrząsnęła głową, odpędzając natrętne wspomnienia. Dopięła resztkę swojej kawy i spojrzała na mnie z wymuszonym uśmiechem.

– No, a co ty zamierzasz teraz robić?

Wzruszyłam ramionami. Wiatr potargał mi włosy, zasłaniając twarz.

– Zacznę od wizyty u fryzjera – mruknęłam rozdrażniona.

Kobieta roześmiała się chrapliwie, a ja lekko się zarumieniłam.

– Jeszcze ci się nie przedstawiłam – przypomniałam przepraszająco. – Jestem Nina...

– Tak. Wiem. – Machnęła ręką. – Nina Huczmiran. Pupilka Darii. Nadzieja całego rodu i jego wielkie rozczarowanie.

Zmarszczyłam lekko brwi. Chciałam zaprotestować, ale nie zrobiłam tego. Miała rację.

– Jeszcze mnie nie skreślaj. Przecież wróciłam i mogę zacząć...

– ...wszystko od nowa? – rzuciła pogardliwie.

Zacynał mnie już irytować jej dziwny zwyczaj dokańczania zaczętych przeze mnie zdań.

– Zawsze możesz spróbować, ale uważaj. Daria lubi traktować ludzi jak zabawki.

– Tylko się o nas troszczy... – powiedziałam niepewnie.

– O tak. To takie ważne – odparła z dziwną miną.

Dopiła kawę, wstała i wyszła bez słowa.

Siedziałam przez chwilę w wiklinowym fotelu, zastanawiając się nad dziwną wizytą. Miałam wrażenie, że Inga nie powiedziała wszystkiego, co chciała, a za jej niezapowiedzianymi odwiedzinami kryło się coś więcej niż tylko dobrosąsiedzkie stosunki. Wystawiłam twarz do słońca, próbując się uspokoić. Nie miałam powodu, by posądzać ekscentryczną starszą panią o nieczne zamiary. Czułam, jak wypita kawa relaksuje mnie i rozluźnia. Spojrzałam na ulicę – Warszawa tętniła codziennym życiem. Ludzie ciągle się spieszyli. Przenosili dokumenty z jednego miejsca w drugie, dobijali interesy i wykonywali bardzo ważne obowiązki. Czas odpoczynku jeszcze nie nadszedł i długo nie nadejdzie. Tylko ja leniuchowałam na balkonie, wygrzewając się w promieniach sierpniowego słońca i rozkoszując się chwilą szczęścia, którego już nie spodziewałam się doświadczyć.

## LINDA

Warszawa, 1890 rok

Zanim jeszcze otworzyłam oczy, poczułam zapach wywaru, który matka przygotowywała dla mnie każdego ranka. Gorący, aromatyczny napój z odrobiną mięty dla zachowania świeżości, rumianku przeciw bakteriom, melisy na uspokojenie nerwów, nagietka na piękną cerę i mocne paznokcie i z odpowiednią mieszanką woni: wanilii, imbiru, czekolady i pieprzu. Wiedziałam, że za chwilę usłyszę jej szybkie, mocne kroki na drewnianej podłodze i cichy szelest wykrochmalonej sukni. Poczuję jej zapach. Goździki i ambra. Mieszanka, jakiej trudno się oprzeć. Usłyszę łagodny, ale zdecydowany głos. Wszystko odbędzie się tak jak zawsze. Gdy skończyłam dziesięć lat, moja matka Ema zdecydowała, że nie jestem już dzieckiem, i zaczęła mnie chronić niczym najcenniejszy skarb. Od kilkunastu lat codziennie piję jej napar, który ma sprawić, że będę silna, piękna i nie popełnię w życiu błędu mogącego odbić się na naszym rodzie. Jednak dzisiaj kroki mojej matki będą bardziej niecierpliwe, głos ostrzejszy, a porcja naparu podwójna. Ema zrozumiała bowiem, że nie sprawdziła się w roli mojej strażniczki. Mimo że dopilnowała niemal wszystkiego, to udało mi się ją przechytryć. Od lat ciągniemy tę grę. Ona mnie łapie, a ja uciekam. Ona zasłania mi świat, ja biegnę do niego, wymykając się przez najmniejszą szczelinę, o której zapomniała. Ja jestem jej skarbem, ona moim strażnikiem. Ema zrozumiała, że wygrałam. Uciekłam i byłam szczęśliwa. Żyłam i czułam się

silna bez jej męczącej opieki. Wolna, a to więcej, niż mogłabym oczekiwać od życia. Dlatego teraz tak trudno mi otworzyć oczy i stwierdzić, że znowu tu jestem. To samo mieszkanie na Nowym Świecie, skąd zaledwie kilka kroków dzieli mnie od mleczarni-kawiarni Udziałowej, gdzie wszystko się zmieniło. Pod ścianą to samo łóżko, w którym śniłam o mężczyźnie siedzącym zawsze przy stoliku pod oknem, pijącym przed południem mleczną kawę, a do obiadu kefir. I te same zapachy. Goździki i ambra mojej matki, trawa cytrynowa i kastoreum mojej babki Lucyny, i mój zapach. Eukaliptus i werbena. Nasze zapachy nigdy nie stworzyły zgodnej mieszanki i teraz, mimo że jestem tak słaba i zmęczona, nadal czuję, jak walczą o swoją niezależność. Matka, babka i wnuczka – kobiety z jednego rodu, których zapachy nie chcą się wzajemnie przeniknąć? Jednak teraz nie będę o tym myśleć. Świadomość, że znowu jestem w domu Lucyny i straciłam wszystko, co dla mnie ważne, odbiera mi chęć do dalszego życia. Znów jestem sama, a mężczyzny, którego kochałam, nie obchodzi mój los. Mocno zacisnęłam oczy. Zapach konwalii i cytryn. Musiałam się uspokoić, zrelaksować i ponownie zapaść w głęboki sen. Delikatna mgiełka aromatu natychmiast owinęła mnie szczelnym kokonem. To tak proste i naturalne. Przez ostatni rok nauczyłam się żyć jak zwyczajna kobieta przy boku mężczyzny. To on był niezwykle i wyjątkowy. Ja stałam się jego cieniem, ukojeniem po twórczym szale i opoką w chwilach zwątpienia. Niczego więcej nie chciałam. Nie potrzebowałam nawet mojego zapachu. Już prawie zapomniałam, kim jestem i co potrafię. Czułam się szczęśliwa, choć babka Lucyna zawsze powtarzała, że to niemożliwe.

– Nie będziesz teraz spać, moja droga.

Głos Emy brzmiał mocno i zdecydowanie. Przez chwilę poczułam się znowu jak mała dziewczynka. Ton głosu matki zawsze był właśnie taki – rzeczowy i konkretny. Jak w dzień moich piątych urodzin, gdy kazała mi mówić do siebie po imieniu.

– Łączy nas coś więcej niż więzy krwi, coś potężniejszego niż instynkt macierzyński. Nie jesteśmy tylko matką i córką. Nasze losy są nierozzerwalnie splecione.

Jej słowa zrozumiałam, gdy znalazłam się daleko. Nie tęskniłam, jak córka powinna tęsknić za matką. Nie zastanawiałam się, co robi o konkretnej godzinie dnia i czy o mnie myśli. Nie pragnęłam usłyszeć jej głosu ani zobaczyć, jak się śmieje. Jednak miałam świadomość, że coś mnie do niej wzywa. Im bardziej się oddalałam, tym bardziej czułam nasze wzajemne przyciąganie. Potrzebę bliskości, która nie płynęła z serca ani z umysłu, a była czymś tak naturalnym jak potrzeba nabrania powietrza do płuc. Wtedy dotarło do mnie, że je zdradziłam. Matkę, babkę i siostrę, swój ród i swoje przeznaczenie.

– Usiądź i wypij ten napar. Doda ci sił. Musisz dojść do siebie. Ubierz się i przyjdź do jadalni. Musimy porozmawiać.

Postawiła filiżankę z parującym płynem na stoliku obok łóżka. Spojrzała na mnie surowo, bez emocji, odwróciła się i wyszła, zamiatając świeżo wypastowaną podłogę falującymi falbanami sukni. Zawsze lubiłam patrzeć, jak się porusza – z gracją i płynnością, jakich mnie zawsze brakowało. Ema była damą na długo przedtem, zanim wyszła za hrabiego Różanieckiego, zamieszkała w jego wygodnym sześciopokojowym mieszkaniu i dostała do dyspozycji lokaja, dwie pokojówki i kucharkę.

– Dzięki Emie możesz teraz chodzić na bale i rauty, a to dla nas bardzo ważne. Musimy być blisko ludzi. Nigdy nie zapominać, co zawdzięczasz swojej matce, Lindo.

Głos babki Lucyny zawsze tężał, kiedy mówiła to zdanie, jakby za jej słowami kryło się coś więcej, niż mogła powiedzieć. W jednym na pewno miała rację. To dzięki Emie nasza rodzina weszła na salony i pojawiła się na arenie życia towarzyskiego tego wyjątkowego miasta. To jedyne, co czyni mój powrót znośniejszym. Znów jestem w Warszawie. Również to zrozumiałam, kiedy tylko dorożka przejechała przez rogatki

miejskie. Tylko tu możemy czuć się bezpieczne, silne i w miarę szczęśliwe. To rodzinne gniazdo, którego nigdy nie wolno nam opuszczać.

Drzwi za matką się zamknęły, więc ostrożnie otworzyłam oczy i usiadłam na łóżku. Poczułam, że kręci mi się w głowie i nie mam siły wstać, by włożyć świeżo wyczyszczoną wiśniową suknię z wysoką stójką i zbyt ścisłym gorsetem.

Wstałam i chwiejnym krokiem podeszłam do okna. Rozsunęłam zasłony i otworzyłam okno. Wiosenne powietrze wypełniło duszny, gorący pokój światłem i ostrym zapachem mroźnego powietrza. Poczułam lekki, niemal nieuchwytny zapach eukaliptusa i werbeny. Spojrzałam w dół na ruchliwą i gwarną ulicę. Mijające się dorożki i zwykle turkoczące dryndy, mężczyźni witający znajome damy lekkim uniesieniem cylindra, kobiety z parasolkami przechadzające się niespiesznie i uprzejmie odpowiadające na pozdrowienia. Kiedy się wychyliłam, zobaczyłam mleczarnię Udziałową. Wychodził z niej właśnie młody mężczyzna w surducie, cylindrze i z elegancką laseczką. Przez moment myślałam, że to on. Ukłonił się dwóm mijającym go damom, stukając lekko laską o chodnik. Kryspin robił to w bardzo podobny sposób. Stałam za daleko, żeby dobrze się przyjrzeć, ale natychmiast zalała mnie fala gorąca i poczułam, że się rumienię. Gdyby tu był, gdybyśmy się spotkali tylko na chwilę rozmowy, może wszystko by się jeszcze zmieniło. Jeśli w czymkolwiek zawiniłam, czymś go rozgniewałam, przecież to tylko drobiazgi. Wszystko da się naprawić... jeśli nadal mnie kocha. Poczułam, że łzy płyną mi po policzkach. Zapach eukaliptusa i werbeny zawirował delikatnie wokół mnie. Tymczasem mężczyzna odszedł Nowym Światem, by po chwili skręcić w Świętokrzyską i zniknąć za rogiem. Odwróciłam się od okna i spojrzałam na suknię leżącą na fotelu jak niemy wyrzut mojego złego prowadzenia się. To znak, że mi nie wybaczyła i przynajmniej na razie nie zamierza tego robić, choć nigdy nie

odmówi pomocy. Zacisnęłam mocno pięści i zagryzłam wargi w bezsilnej złości. Spojrzałam na filiżankę z naparem. Podeszłam do stolika szybkim krokiem, chwyciłam ją i całą zawartość wylałam do doniczki z kwiatem. To była moja druga pokuta. Przesadnie skromna, niewygodna suknia i napój, który miał usunąć wszystkie problemy mogące mi przeszkodzić w powrocie do dawnego życia.

Ema podejrzewała to, czego od kilku tygodni byłam pewna. Chciała się zabezpieczyć i usunąć problem, zanim jeszcze ujrzał światło dzienne. Miała rację. Pod sercem nosiłam dziecko Kryspina. Tylko ta myśl trzymała mnie przy życiu po jego odejściu. Mam w sobie część jego samego, dzięki temu nigdy ode mnie tak naprawdę nie odejdzie. Kiedy rozległo się ciche pukanie i nieśmiało weszła pokojówka, pozwoliłam jej ubrać mnie w gorset i dopilnowałam, żeby zawiązała go znacznie lżej niż zazwyczaj. Dziewczyna spojrzała ze zdziwieniem, ale szybko opuściła wzrok i poluzowała sznurówki. Pozornie wszystko musi być tak, jak było. Eleganckie suknie, włosy upięte w wymyślne koki, bale i herbatki u baronowej Krzyckiej. Uprzejme uśmiechy i rozmowy o najnowszych skandalach towarzyskich tego karnawału. Będę udawać tak długo, jak trzeba, żeby zmylić ich czujność. Jednak nie spocznę, dopóki nie odnajdę Kryspina i nie dowiem się, dlaczego porzucił mnie bez słowa wyjaśnienia. Mimowolnie zacisnęłam pięści, gdy służąca upinała mi włosy w skomplikowany kok tuż nad karkiem. To jedna ze zmian, jakie spowodowała moja ucieczka. Nie byłam już pannienką. Nie wypadało mi nosić warkocza. Następną był napar Emy. Nie wypiję go bezmyślnie. Jestem dorosła. Jak długo jeszcze matka zamierza mnie chronić? I przed czym?! Teraz to ja powinnam ochronić siebie i dziecko przed nią, Emą Huczmiran, która uzurpuje sobie prawo do orzekania, co jest dobre, a co złe. Kiedy Marta, bo tak przedstawiła się służąca, skończyła moją poranną toaletę, zabrała się do ścielenia łóżka, ja



zaś otworzyłam drzwi pokoju, przekroczyłam próg i zatrzymałam się przy schodach, chwytając kurczowo poręcz. Poczułam zawrót głowy. Z dołu usłyszałam głos Lucyny besztającej lokaja za niedokładnie wypastowane buty. Usłyszałam delikatny głosik Klary, córki Erwiny, która na końcu korytarza, w swoim pokoju nuciła piosenkę, zapewne usypiając lalki. Zamknęłam na moment oczy, by zebrać siły. Zapach eukaliptusa i werbeny zatańczył wokół mnie wesoło. Poczułam się nieco lepiej. Zdjęłam rękę z poręczy i pewnym krokiem zaczęłam schodzić po schodach.

– No, ale cóż to za zachowanie! – krzyknęła Lucyna oburzona, siedząc wygodnie na fotelu w kącie dużego salonu. – Zniszczyć rzeźbę Mickiewicza! Cóż z tego, że był jej autorem! Wszakże zgłosił ją na konkurs Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych i pokazał tłumom warszawiaków, a przecież wszyscy wiedzą, jak bardzo Warszawa kocha Mickiewicza! Pozwolił ludziom ją oglądać, chwalić i podziwiać, po czym na oczach tych samych ludzi po prostu rozbił ją młotkiem. Cóż za manieri! Co za dziki, nieokiełznany temperament! Takiego człowieka należałoby trzymać w zamknięciu i nie dopuszczać do porządnych obywateli!

– Tacy właśnie są artyści – westchnęła Erwina, trzymając w rękach filiżankę z herbatą. – Nieodpowiedzialni, bezmyślni i samolubni ludzie, których jedyną ambicją jest tylko i wyłącznie obnoszenie się z własnymi frustracjami i szokowanie reszty społeczeństwa. – Westchnęła po raz drugi. – Po cóż szukać daleko? Choćby ten cały Kryspin Sroczyński. Rozkochał w sobie naiwną Lindę, a potem po prostu ją porzucił. Bez słowa wyjaśnienia! Poświęciła dla niego wszystko, co miała, a po roku pan poeta stwierdził najwyraźniej pomiędzy jednym wierszem a drugim, że biedna Linda nie mieści się w jego artystycznej wizji, i zostawił ją jak dziurawy but, z którego nie będzie już żadnego pożytku. – Zamilkła na chwilę i wyszeptwała ze zgrozą w głosie: – Żeby tylko gorszego skandalu z tego nie było...

– O to się nie martw, moja droga – zapewniła ją Lucyna. – Ema wszystkim się zajęła...

Weszłam do pokoju z wysoko podniesioną głową i dumną miną, jaką od małego matka kazała mi ćwiczyć przed lustrem, wpajając, że Huczmiranki nigdy nie okazują słabości.

– Witajcie – powiedziałam spokojnie i bez radości, jaka powinna towarzyszyć spotkaniu siostry i babki po długiej nieobecności. Zmusiłam się do lekkiego uśmiechu, udając, że nie mam pojęcia, o czym przed chwilą rozmawiały.

Lucyna podniosła się z fotela, podeszła do mnie i podała mi dłoń. Moja siostra Erwina skinęła mi łaskawie głową, jakby mój powrót skomplikował jej osobiste plany. Spodziewam się, że w pewnym sensie był to problem dla wszystkich. Erwina ma kilkuletnią córkę, którą w przyszłości będzie chciała wprowadzić na salony. Wciąż jest młoda, może jeszcze dobrze wyjść za mąż za jakiegoś majątnego wdowca, a nawet urodzić drugą córkę. Od kiedy pamiętam, Ema całą swoją uwagę skupiała na właściwych manierach i utrzymaniu pozycji w towarzystwie. To jej wysiłkom zawdzięczamy, że po śmierci hrabiego Różanieckiego naszą rodzinę nadal zapraszano na podwieczorki i bale do domów kilku warszawskich arystokratów. Z czasem w ślad za nimi poszli inni i dziś nikt już nie pamięta, że hrabina Ema Różaniecka była kiedyś tylko kelnerką. Obecnie uważano ją już tylko za wielką damę i przyjaźniła się z najbogatszymi damami. W takiej sytuacji powrót córki porzuconej przez kochanka, i do tego poetę, to poważna przeszkoda w utrzymaniu statusu, znalezieniu męża dla młodszej córki i wprowadzeniu wnuczki do śmietanki towarzyskiej. Jednak wciąż należałam do tego rodu. Nawet Ema musiała o tym pamiętać.

– Witaj, moja droga – powiedziała w końcu Erwina i posadziła mnie na miękkiej sofie. Ruszyła do stolika kawowego, by przygotować mi herbatę, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła i usiadła w swoim fotelu. Szczerze mówiąc, straszliwie zgłodnia-

łam. Wróciłam poprzedniego dnia późnym wieczorem, a kiedy się obudziłam, było już południe; wygląda na to, że musiałam czekać do obiadu, żeby coś zjeść. W tym domu zawsze wydawano posiłki o odpowiednich porach.

– Właśnie rozmawialiśmy o tym rzeźbiarzu, Antonim Kurzawie... nie masz pojęcia, na co sobie pozwolił...

– Wiem, o czym rozmawialiście. – Spojrzałam na siostrę ostro, a ona tylko rozłożyła ręce i przewróciła oczami, jakby chciała powiedzieć: „Sama jesteś sobie winna”.

– Moja droga – zwróciła się do mnie babka i choć nie słyszałam w jej głosie srogości, to nie było w nim także ciepła. – Dziś wieczorem zwołamy zjazd rodzinny. Musisz prosić o wybaczenie, jeśli nie chcesz zostać wykluczona za to, czego się dopuściłaś. Nie zostałam jeszcze wykluczona. Zachowałam się... – Jej policzki nagle poczerwieniały, ale szybko się opanowała: – ...bardzo nierozsądnie, ale na pewno o tym wiesz, skoro w końcu się opamiętałaś. Musimy wspólnie zastanowić się, co z tobą teraz zrobić. Jak wytłumaczyć tę... sprawę znajomym i w jaki sposób wprowadzić cię ponownie do towarzystwa? Niestety, konsekwencje twojej lekkomyślności ponosimy my wszystkie. Mam nadzieję, że przynajmniej z tego zdajesz sobie sprawę. Twój wybryk mógł nas kosztować utratę pozycji, majątku... wszystkiego. Nie mogę uwierzyć, że właśnie ty zachowałam się tak nierozsądnie.

– Oczywiście, rozumiem. – Spuściłam pokornie wzrok. To nie był czas na dyskusje.

– Wypiłaś napar, który przygotowała Ema? – zapytała już nieco ostrzejszym tonem.

Podniosłam głowę i spojrzałam jej prosto w oczy.

– Tak – przyznałam bez wahania.

– To dobrze. Dzięki niemu szybciej odzyskasz siły, a i my staniemy się wtedy mocniejsze. Dziś jedziemy na wieczorek filantropijny, potem na bal do hrabiny Księżopolskiej, zapewne

ją pamiętasz? Była na tyle łaskawa, że wyraziła zgodę również na twoje przybycie. Mam nadzieję, że tym razem nas nie zawiedziesz. Czas, żebyś się ustatkowała i zaczęła przynosić rodzinie korzyści. Chroniłyśmy cię, bo sądziłyśmy, że odziedziczyłaś dar po Lucynie. To byłoby bardzo dobre dla naszego rodu i wymagałoby pewnych szczególnych przygotowań. Jednak właściwie mamy już pewność, że nie zostaniesz alchemiczką. W związku z tym nie można dłużej zwlekać. Masz już swoje lata, a teraz, po tym twoim... wybryku, jeszcze trudniej będzie znaleźć dla ciebie odpowiedniego kandydata. Dlatego właśnie spodziewam się, że już od dzisiejszego wieczoru skoncentrujesz wszystkie swoje siły i moce na zjednaniu sobie mężczyzny, którego ci wskażę. Czy to jest dla ciebie całkowicie jasne?

– Tak – odparłam głucho, zerkając na złośliwy uśmiešek mojej siostry.

– Pamiętaj o Erwinie, która też planuje jeszcze wyjść za mąż. A także o małej Klarze, która dopiero będzie brylować na salonach.

– Rozumiem. – Kiwnęłam głową i wstałam. – Pójdę teraz... trochę odpocząć.

Lucyna gestem wyraziła przyzwolenie.

– Dobrze, ale liczę na to, że twoje... zmęczenie to tylko i wyłącznie skutek długiej podróży, nic poza tym, prawda? – Mierzyła mnie uważnym, zimnym spojrzeniem.

– Tak sędzę... – rzekłam, nie wiedząc, co odpowiedzieć, żeby nie skłamać, bo przecież prawda i tak za kilka tygodni wyjdzie na jaw.

– To znaczy, że nie jesteś pewna?

Przez chwilę zastanawiałam się, jak to rozegrać. W spojrzeniu Lucyny zobaczyłam nie tylko niepokój, lecz także groźbę. Jeśli pozwolę sobie choćby na cień wątpliwości, nie dadzą mi spokoju. Będę musiała pić napary Emy w ich obecności. Nie wypuszczą mnie z domu, dopóki nie zyskają pewności, że po-

roniłam. Zbyt wiele miały do stracenia. Pozycja rodu stanowiła ich największe osiągnięcie. Dużo dla niej poświęciły i były gotowe poświęcić jeszcze więcej. Nie mogłam ryzykować.

– Jestem pewna, Lucyno. Nie ma żadnego problemu. Jestem dojrzałą kobietą i zapewniam cię, że wiedziałabym, gdybym była brzemienna. Nie musisz się tym martwić. Jeśli urodzę kiedyś dziecko, to tylko mężczyźnie, którego mi wybierzesz. Romantyczne historie mam już za sobą i nie zamierzam do tego wracać.

Odetchnęła z ulgą.

– Miło to słyszeć. Jednak dla pewności jeszcze przez trzy dni będziesz piła napary Emy, dobrze?

– Oczywiście.

– A teraz idź na górę i nabierz sił przed wieczornym przyjęciem.

Wyszłam z pokoju, ale zamiast na schody, skierowałam się w stronę kuchni. Na chwilę przystanęłam, by się uspokoić i pohamować mdłości, które pojawiły się od wypełniającego pokój zapachu imbiru.

– Ona coś ukrywa. – Usłyszałam nagle ściszony głos Lucyny. – Trzeba sięgnąć po bardziej sprawdzone środki. Musimy mieć pewność, że nie urodzi nam bękarta tego łachmyty. Wszedłszy do kuchni, nie mogłam powstrzymać wzruszenia. Było to moje ulubione miejsce w całym domu. Tu rządziła gruba kucharka Ksenia, a mama i babka rzadko zaglądały, bo wewnątrz zbyt boleśnie przypominało im, skąd pochodzą. Dlatego kuchnia, jako jedyne pomieszczenie w domu, zawsze była hałaśliwa, wesoła i pełna ciekawostek. Na ścianach wisiały patelnie i garnki, na długim, drewnianym stole noszącym ślady wieloletniego przyrządzania na nim potraw, zawsze stał mały dzbanuszek z kwiatkami, nad drzwiami zaś wisiały niewielkie obrazki przedstawiające zwierzęta. Kiedy stałam teraz na progu, przez moment miałam wrażenie, że jestem w innym domu, gdzie rodzina witałaby mnie z radością

i współczuciem, gdzie mogłabym się zwierzyć siostrze i szukać pocieszenia u matki. Ksenia mieszała w wielkim garnku coś, co pachniało wyśmienicie. Gdy wyczuła czyjąś obecność, odwróciła się z chochlą w potężnej dłoni i krzyknęła jednocześnie ze strachu i radości.

– Moja dziecina! – Podeszła do mnie i przytuliła z całych sił, a kiedy zwolniła uścisk, posadziła mnie na krześle przy stole i wyjęła z kredensu talerz. Ukroiła dwie potężne kromki chleba, posmarowała masłem i nałała do głębokiego talerza parującą, gęstą zupę.

– Nie dali ci nic jeść – prychnęła pogardliwie, kiwając głową w stronę salonu. – Moje biedactwo. Po takiej podróży i tylu przeżyciach kazać ci czekać na obiad! Powiedziałam jasnie pani, że przygotuję ci drugie śniadanie, ale uznała, że to byłoby niestosowne. – Przewróciła oczami, dając jasno do zrozumienia, co o tym myśli.

Kiedy zapachy świeżo ugotowanej zupy, chrupiącego chleba i świeżego masła dotarły do mnie, poczułam, że żołądek kurczy mi się boleśnie, a uczucie głodu niemal zapiera dech w piersiach.

– No, jedz, dziecko. Musisz odzyskać siły. – Ksenia pogłaskała mnie po głowie. W geście obcej kobiety odnalazłam więcej czułości niż w powitaniu, które przed chwilą zgotowała mi rodzina.

Zupa była wyśmienita. Pachnąca, pożywna i bardzo gorąca. Pochłonęłam ją w mgnieniu oka, a kiedy po chwili odstawiłam pusty talerz i przełknęłam ostatni kęs chleba, Ksenia spojrzała na mnie zdumiona.

– Czyś ty, dziewczyno, przez ten rok nic nie jadła? – zapytała przerażona.

Spojrzałam na nią i zdecydowałam się w tej samej chwili. Jeśli komukolwiek w domu mogłam zaufać, to tylko jej. Zrozumiała. Usiadła przy dużym drewnianym stole i spojrzała mi prosto w oczy.



– Potrzebuję kogoś zaufanego, kto zanieś wiadomość w pewne miejsce i przyniesie mi odpowiedź. To musi być ktoś bardzo dyskretny. Sprawa jest bardzo ważna.

Ksenia kiwnęła głową.

– W co ty się wpakowałaś, dziewczynko?

– Nie robię nic złego. Muszę tylko... o coś zapytać.

– Zapytać? Jesteś blada jak ściana. Pochłonięłaś taką porcję jedzenia, której dwumetrowy chłop nie dałby rady. Ja już o nic więcej nie muszę pytać. Wszystko wiem. Za długo żyję na tym świecie, żeby nie rozpoznać kobiety...

– Ciii. – Położyłam palec na ustach. – Nikomu. Nic. Rozumiesz?

Ksenia tylko kiwnęła głową.

– Możesz mi pomóc?

Zastanowiła się przez chwilę, szukając w myślach odpowiedniej osoby.

– Moja siostrzenica przychodzi tu w każdy piątek. Przynosi warzywa i owoce ze sklepu mojej siostry.

– Można jej ufać?

– Ma dwanaście lat, nigdy nie rozmawiała z jaśnie panią ani jej z bliska nie widziała. Nawet jakby chciała, nie będzie miała okazji, żeby coś powiedzieć. Poza tym ona nie umie czytać.

Kiwnęłam głową.

– Dobrze. Jutro jest piątek. Przekażę ci rano wiadomość. Niech dostarczy ją jak najszybciej pod wskazany adres i koniecznie przyniesie odpowiedź. Dostanie za to rubla, ale zapłacisz jej, dopiero gdy wróci z odpowiedzią.

Ksenia spojrzała na mnie z oburzeniem i chciała zaprotestować, jednak gestem dałam jej znać, że nie chcę żadnych dyskusji. Zastanowiłam się przez chwilę, ale decyzję podjęłam szybko.

– Gdzie ona mieszka?

– Na Powiślu.

– Dobrze – powiedziałam i pomyślałam o czymś. – Może nam być potrzebne miejsce, gdzie nie będą mnie szukać. – Spojrzałam kucharce w oczy. – Wiesz... na później. Dobrze zapłacę twojej siostrze za pomoc.

Ksenia skinęła głową, a ja ucałowałam ją w policzek.

– A zatem wszystko mamy ustalone.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c  
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49, faks 22 643 70 28  
e-mail: [naszaksiegarnia@nk.com.pl](mailto:naszaksiegarnia@nk.com.pl)

Dział Handlowy  
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42  
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32  
e-mail: [sklep.wysylkowy@nk.com.pl](mailto:sklep.wysylkowy@nk.com.pl)      [www.nk.com.pl](http://www.nk.com.pl)

*Książka została wydrukowana na papierze  
Ecco-Book Cream 60 g/m<sup>2</sup> wol. 2,0.*

Redaktor prowadzący *Katarzyna Piętka*  
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*  
Redakcja *Bogumiła Widła*  
Korekta *Ewa Mościcka, Magdalena Szroeder*  
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Agnieszka Czubaszek-Matulka*

ISBN 978-83-10-12802-7

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015 r.  
Wydanie pierwsze  
Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków